



DROGI DO NIEPODLEGŁOŚCI

PROF. KRZYSZTOF KAWALEC

Odrodzona Polska nie przetrwałaby bez energii i ofiarności dziesiątków tysięcy młodych ludzi, dla których służba w polskich formacjach zbrojnych stanowiła rodzaj patriotycznej zaprawy.

NIE TYLKO HALLERCZYCY

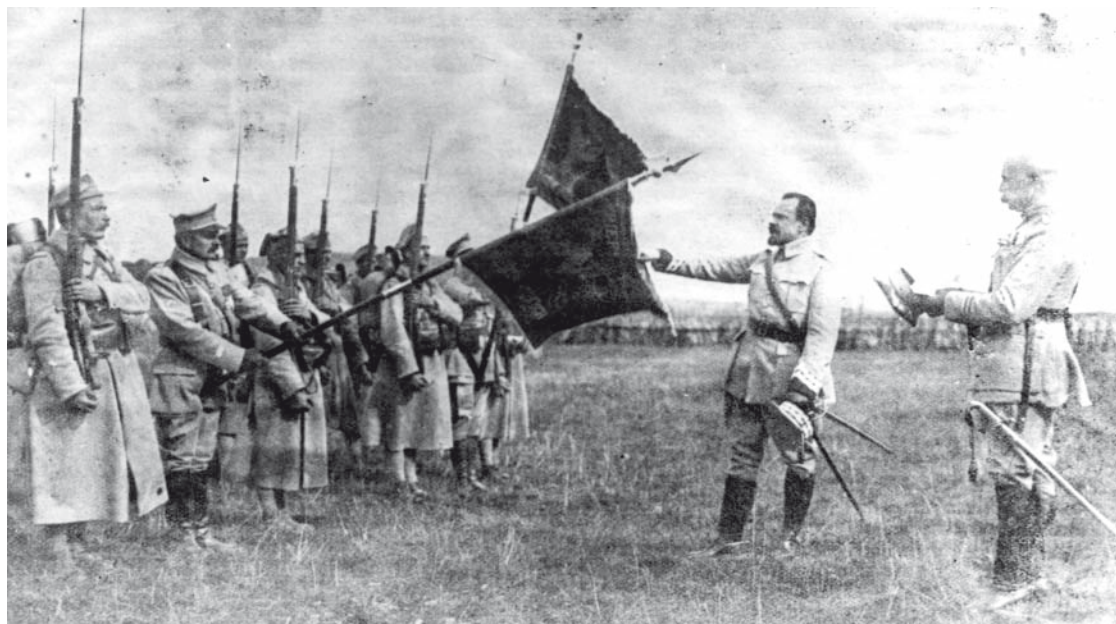
Sto lat temu, w czerwcu 1917 r. kończył się kolejny, trzeci rok globalnego konfliktu pustoszącego Europę. Na frontach nastąpił impas. Bezprecedensowe straty w ludziach wygasili entuzjazm, z którym rozpoczynano wojnę w sierpniu 1914 r. Choć w przypadku większości państw determinacją w dążeniu do zwycięskiego zakończenia zaznaczała się silnie od pragnienia jej przerwania, to na pytania o sens wysiłków i wyrzeczeń ich przywódcom coraz trudniej było odpowiadać.

Wiosną-latem 1917 r. armia francuska stanęła w obliczu żywiołowych buntów żołnierskich, grożących załamaniem frontu. O wiele gorzej sytuacja przedstawiała się w Rosji, gdzie – po abdykacji cara – władze zaczęły tracić kontrolę nad armią. W obliczu konieczności walki na dwa fronty, osłabiona stratami poniesionymi w poprzednim roku koalicja Niemiec i Austro-Węgier, niezdolna do poważniejszej ofensywy, starała się złamać morale przeciwnika. Korzystając z rewolucji rosyjskiej, przerzucono na teren wroga przywódców skrajnej socjalistycznej sekty z Leninem na czele, przeciwników zaś na Zachodzie nęcano atakami lotniczymi: przeprowadzony 13 czerwca 1917 r. wielki rajd lotniczy na Londyn pochłonął ponad 500 zabitych i rannych.

Polska uczestniczyła w tych wyniszczających walkach, ponosząc ich ciężar. Nie posiadała własnego państwa, ale jej mieszkańcy byli powoływani do służby w armiach rosyjskiej, austro-węgierskiej, niemieckiej. Szacuje się, że przez całą wojnę przez szeregi walczących ze sobą armii przewinęły się prawie 3 miliony Polaków. To więcej niż podczas II wojny światowej. Zmuszeni strzelać do siebie nawzajem, tracili życie w obcych mundurach, pod obcymi sztandarami. Historycy różnie szacują wielkość owych strat: od prawie 400 tysięcy zabitych i zaginionych do ponad pół miliona.

Na tle wielomilionowych armii polskie oddziały wojskowe – rekrutowane z ochotników, zachowujące organizacyjną odrębność, z własnymi mundurami i polską komendą – stanowiły garstkę. Patriotyczna legenda każe wyolbrzymiać ich znaczenie, w rzeczywistości ich wpływ na rezultat walk był bez znaczenia. Politycznie natomiast stanowiły czynnik znaczący, w miarę upływu czasu – znaczący coraz bardziej.

Odrodzona Polska nie przetrwałaby bez energii i ofiarności dziesiątków tysięcy młodych ludzi, dla których służba w polskich formacjach zbrojnych stanowiła rodzaj patriotycznej zaprawy. Pojawienie się już w pierwszych latach wojny żołnierzy z orzełkami na czapkach dokumentowało – po obu stronach frontu – istnienie kwestii polskiej. Sądząc z liczebności formacji, najsilniejsze echa obudziła idea walki z Rosją (trzy legionowe brygady, walczące po stronie bloku niemieckiego). Natomiast formacje występujące po stronie antyniemieckiej koalicji, jak Legion Puławski czy Bajon-



General Józef Haller składa przysięgę przed oddziałami Armii Polskiej we Francji

czy (Francja) nie przekroczyły siły kilku batalionów. Jakkolwiek nieliczne i słabo uzbrojone, zwracały uwagę swą bitnością. To dlatego po kilku latach wojny, w obliczu wyczerpywania się rezerw materiałowych i ludzkich, w obrębie obu walczących koalicji zdecydowano się podjąć próbę sięgnięcia do – poprzednio lekceważonego – rezerwuaru polskiego zapła i energii.

Pierwsi uczynili to Niemcy, w listopadzie 1916 r., proklamując powstanie związanego z nimi państwa polskiego i ogłaszając zaciąg do wojska. Na odpowiedź koalicji przyszło czekać pół roku; rozpad armii rosyjskiej sprawił, że poszukując zdalnych do walki i zdyscyplinowanych żołnierzy, rosyjskie dowództwo zgodziło się na tworzenie formacji zbrojnych o narodowym charakterze. Jak się okazało, przyszło im odgrywać rolę siły stabilizującej. Dotyczyło to także formacji polskich. Starając się unikać zaangażowania w rosyjskie walki wewnętrzne, ochraniało polską ludność oraz własność w obliczu grożących im pogromów i masakr. Polskie relacje z Ukrainy i Białorusi dokumentują, jak ważne były te działania, ale później formacje te zostały rozbite przez wojska niemieckie.

Natomiast losy armii polskiej na Zachodzie powołanej 4 czerwca 1917 r. przez prezydenta Francji Raymon-

da Poincarégo okazały się pasmem sukcesów. Stopniowo rozbudowywana armia stała się znaczącą siłą, liczniejszą i lepiej uzbrojoną niż jakakolwiek inna polska formacja w tym czasie. Znaleźli się w niej Polacy ze wszystkich stron świata: ochotnicy z armii francuskiej, dawni jeńcy z austriackiej i niemieckiej (Poznaniacy i Ślązacy), wreszcie młodzież reprezentująca Polonię amerykańską. Jako że zgodnie z demokratycznymi standardami wojsko powinno podlegać władzy cywilnej, Francuzi zgodzili się na powołanie reprezentującego sprawę polską na Zachodzie Komitetu Narodowego Polskiego. Przejął on rzeczywistą władzę nad wojskiem: kontrolował dobór oficerów; uzyskał status siły sprzymierzonej, ale niezależnej; wreszcie skutecznie upomniał się o wiążące deklaracje polityczne wobec sprawy polskiej. W czerwcu 1918 r., gdy oddziały polskie znalazły się na linii bojowej, Francja, Wielka Brytania i Włochy ogłosiły deklarację proklamującą odrodzenie niepodległego państwa polskiego jako jeden z celów wojennych koalicji. Po latach zaborów Polska wracała na mapę Europy. ©©

Debatę pod tytułem „Nie tylko Legiony... Czyn zbrojny 1914-1918” otworzył wystąpieniem Prezydent RP. Andrzej Duda zaznaczył, że trzeba pamiętać też o Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera, o I Korpusie Polskim gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego: „Żołnierze tych formacji stworzyli trzon Wojska Polskiego, które później, w 1920 r., obroniło Rzeczypospolitą przed najazdem bolszewickim”.

Prezydent Andrzej Duda: Lokalne korzenie niepodległości

Stulecie odzyskania niepodległości ma znaczenie nie tylko z punktu widzenia historycznego, ale także z uwagi na budowanie postaw. Dla mnie, jako prezydenta Rzeczypospolitej, jest to najważniejsze.

Niedawno złożyłem wizytę w Wągrowcu. W notatkach, które mi przygotowano, znalazła się adnotacja, że w 1919 r. podczas powstania wielkopolskiego Wągrowiec niemal błyskawicznie udało się oswobodzić. A to dlatego, że pewien chłopak z małej miejscowości pod Wągrowcem, który uczestniczył w wybuchu powstania w Poznaniu, następnie szybko zjawił się w Wągrowcu, gdzie wzniecił – razem z trzema młodymi mężczyznami – powstanie. Zmobilizowali oni mieszkańców i w ciągu trzech dni Wągrowiec był wolny. Moja wypowiedź wywołała poruszenie wśród audytorium. Zdałem sobie sprawę, jak dla tej społeczności jest to ważne. Są dumni, że sami, własnymi rękami, wyzwolili się spod okupacji zaborcy pruskiego.

Debaty, dyskusje, spotkania powinny odbywać się lokalnie. Chciałbym, aby każda gmina, każdy powiat organizował debaty na temat własnej historii odzyskania niepodległości. Poznanie swoich korzeni jest niezwykle ważne. Trzeba przypominać, że tak naprawdę wolni jesteśmy wtedy, gdy mamy swoje państwo; że ludzie byli gotowi oddać życie za swoje państwo, za jego odzyskanie, a potem – obronę.

Dokonywanie głębokiego społecznego samouświadczenia jest skarbem, który my wszyscy z tej 100. rocznicy odzyskania niepodległości powinniśmy wynieść. Aby każdy w swoim miejscu zamieszkania, każdym miasteczku wiedział, jak nazywali się ci, którzy w 1918 r. wywalczyli wolność. Żebyśmy wiedzieli, kto z naszej miejscowości był w Legionach, w Błękitnej Armii, w I Korpusie Polskim, byśmy wiedzieli, jak się ten żołnierz nazywał, czy spoczywa na naszym cmentarzu, czy może zginął w jakiejś bitwie; z której jest rodziny, gdzie dokładnie mieszkał... Dla mnie jest to niezwykle ważne w kontekście odzyskania niepodległości i budowania świadomości w naszym społeczeństwie na następne stulecie.

Patrzę też z uśmiechem na pana profesora Andrzeja Chwalbę. Pan profesor nawet dzisiaj ubrał się na wzór żołnierzy Błękitnej Armii...

Prof. Janusz Odziemkowski: Jak zdobyć polskiego żołnierza

Rok 1914 był końcem belle époque. Wtedy oczywiście nie zdawano sobie z tego sprawy. Wszyscy uczestnicy konfliktu szli w obronę ojczyzny, w obronę wolności; każdy był przekonany o swojej słuszności, o tym, że jego sprawa jest jedyną sprawiedliwą – że będzie wygrana.

Plan francuski zakładał wytrzymanie uderzenia niemieckiego. Francuzi bali się, pamiętali lata 1870-1871, zdawali sobie sprawę z potęgi armii niemieckiej. Liczyli – w niewielkim stopniu – na pomoc Brytyjczyków, a także na walec rosyjski, na tę 5-milionową armię, którą Rosja miała powołać. Założenie Francuzów było następujące: armia rosyjska idzie na Berlin, odciągając wojska niemieckie od frontu francuskiego, wtedy armia francuska rusza – i wojna jest wygrana w ciągu kilku miesięcy.

Plan rosyjski zakładał, że Niemcy nie pozwolą na zmobilizowanie całej armii rosyjskiej. To był problem sztabu rosyjskiego – że nie zdążą się zmobilizować, bo ich kraj jest ogromny. Na wojnę szły armie, których do tej pory w Europie nie było: Rosja – 5 milionów żołnierzy; Francja – blisko 3 miliony; Niemcy – 3-4 miliony. Na wojnę żołnierze wyruszyli z radością, z pieśnią na ustach. Wszystkie pamiętniki o tym mówią; filmy o tym opowiadają. Nie tylko cesarz niemiecki Wilhelm II mówił, że „zanim liście spadną z drzew, wróćcie zwycięzcami”; tak samo myślano we Francji i Rosji.

Nie zdawano sobie sprawy, że przyjdzie toczyć długą i ciężką wojnę, Nie zdawano sobie sprawy z możliwości

nowoczesnego przemysłu. Nie przewidziano również tego, że I wojna światowa będzie wojną, która po raz pierwszy dotknie nie tylko żołnierzy, ale także całego społeczeństwa. Całe społeczeństwo musiało uczestniczyć w wielkim wysiłku, cierpieć poniewierkę, głód, niedostatek.

W końcu załamały się też wszystkie plany strategiczne. W roku 1915 zaczął się „czas wielkich ofiar”, w roku 1916 wszystkie strony konfliktu zaczęły odczuwać zadyszkę, jedna strona nie mogła przełamać drugiej. Sytuacja na frontach zastygła. Francuzi coraz bardziej liczyli na nadejście amerykańskiej armii, która pomoże przełamać impas na froncie. Niemcy zaczęli szukać mięsa armatniego; wtedy padło spojrzenie na Legiony Polskie, pojawiła się myśl: „A może by tak tych Polaków za ochłap, za niesprecyzowaną obietnicę wciągnąć?”. Hans von Beseler (generał-gubernator warszawski – red.) wyliczył, że z samego Królestwa Polskiego uda się zgromadzić milion żołnierzy.

Żeby przełamać impas, trzeba było nowej krwi, siły, żołnierza. Pojawia się idea wyzyskania polskiego żołnierza, który w XIX w. wyrobił sobie świetną opinię: z mlekiem

matki wysłał nienawiść do Rosji, jest gotów do każdej ofiary na rzecz ojczyzny. Myślano, że jest to powszechna postawa Polaków, co oczywiście nie było prawdą, bo nas, Polaków, w XIX w. oceniano – we Francji, Wielkiej Brytanii, Niemczech – przede wszystkim przez pryzmat Wielkiej Emigracji. Przez pryzmat tych, którzy uciekali po powstaniu styczniowym, patriotów, ludzi wykształconych, znających języki. Ludzi, którzy byli gotowi do ofiary. I to przekładano na resztę polskiego społeczeństwa. Stąd Niemcom w 1916 r. się wydawało, że do walki w ich szeregach zgłosi się milion Polaków. Ludendorff (Erich Ludendorff, czołowy dowódca niemiecki – red.) mówił, że jego oczy są zwrócone na Polskę. Czy był przyjacielem Polaków? Nie. Czy Beseler chciał wolnej Polski? Nie. Trzeba było Polaków zachęcić, dając cokolwiek.

Pojawiła się idea wykorzystania żołnierza polskiego jako czegoś, co na szali wojny może zaważyć o zwycięstwie, ale jednocześnie nie było woli dawania Polakom czegoś więcej niż nadziei na autonomię. Włoski parlament poszedł dalej, ale Włosi nie mieli tu nic do stracenia. Włosi



O polskim czynie zbrojnym dyskutowali w Belwederze: (od lewej) prowadzący prof. Włodzimierz Suleja, prof. Mariusz Wołos, prof. Janusz Odziemkowski, prof. Andrzej Chwalba i prof. Krzysztof Kawalec. Debatę otworzył wystąpieniem Prezydent Andrzej Duda

DEBATA HISTORYKÓW ZAPROSZONYCH PRZEZ KANCELARIĘ PREZYDENTA RP I IPN

Polacy w czasie I wojny światowej zgłaszali się dobrowolnie do powoływanych u boku zaborców oddziałów, wiele ryzykując. Służyli zarówno sprawie polskiej, jak i przyszłemu państwu polskiemu.

KAPITAŁ NA PRZYSZŁOŚĆ



nam obiecywali, tak jak Zagłoba królowi szwedzkiemu dawał Niderlandy. Ani w Rosji, ani we Francji, która nie mogła sobie pozwolić na utratę sojusznika rosyjskiego, nie było mowy o niepodległości Polski.

Prof. Andrzej Chwałba: Dezerterów nie było, żołnierze chcieli wojny

Panie Prezydencie, siwy strój jest po mojej lewicy (prof. Kawalec - red.) - to są Legioniści. Rzeczywiście, ja to Błękitna Armia. Nasze spotkania mają również charakter rekonstrukcji historycznej...

Mówimy o tym, jak ludzie reagowali na wojnę. O tym, że pojawił się entuzjazm. Nasuwa się tu pytanie, czy obawiano się dezercji. Niemcy się nie obawiali. Poziom dezercji w sierpniu 1914 r. w przypadku II Rzeszy wyniósł 0,3 proc. Nie było jej. Polacy pomaszzerowali, nie mieli wyboru. To było tak znakomicie zorganizowane państwo, że nawet myśl, że „mogę zostać w domu, uciec do Borów Tucholskich”, nie przychodziła do głowy; to było niemożliwe.

W przypadku armii austro-węgierskiej poziom dezercji nie przekroczył 1,5 proc. Czyli Polacy z Galicji, Śląska Cieszyńskiego też pomaszzerowali w sztafardach „naszego ukochanego najjaśniejszego pana”, który był „laskawy” wypowiedzieć wojnę królowi Serbii. Gdyby było inaczej, gdyby wiadom i kontrwiad austriacki doniosły sztabowi wiedeńskiemu, że ta wojna może skomplikować zarządzanie 10-11 narodami Austro-Węgier, to być może najjaśniejszy pan pomysł wojny by odrzucił. Ale komunikaty, które przekazano i jemu, i sztabowi, mówiły: „Spokojnie możemy bojować. Narody kochają Habsburgów i pójdą na wojnę”. Stąd pytanie o to, co się stało w ciągu czterech lat...

Dezercji najbardziej obawiała się Rosja. Ale i tu jej poziom nie przekroczył 1,5 proc. Polacy z kresów i Królestwa Polskiego bardzo chętnie pomaszzerowali w ramach armii rosyjskiej. To wszystko były „nasze armie”. Galicjanie mówili - nasza armia. Polacy z Królestwa mówili - nasza armia. To się będzie zmieniało dopiero w czasie wojny. Nie było innych zachowań. Gdyby były, to Piłsudski wkroczyłby do Warszawy może już jesienią 1914 r.

Gdy Piłsudski jako naczelnik państwa organizował odrodzone wojsko polskie, poziom dezercji w niektórych

garnizonach sięgał 30 proc. To był problem. Państwa, które organizowały armie na początku I wojny, były sprawne organizacyjnie. Poziom dezercji wskazuje na poziom emocji i kondycję państwa. To, że pod koniec wojny nawet w armii niemieckiej ostatnia mobilizacja się nie udała, wynikało z faktu, że emocje już były inne, w znacznej mierze - antywojenne.

Jeśli chodzi o Rosję, to pierwsze polskie inicjatywy, jakie pojawiły się jesienią 1914 r., dotyczyły Legionów bis albo antylegionów. Mianowicie Narodowa Demokracja, która kontrolowała rząd dusz w Królestwie Polskim i na kresach, uznała, że należy dać odpór inicjatywie Piłsudskiego czy też środowisk politycznych Galicji. W związku z czym pojawił się pomysł zorganizowania Legionów Polskich (tak też nazywanych, choć ostatecznie nazwa była inna) u boku armii rosyjskiej.

Legion Puławski, Legion Lubelski - one nie mają swojego mitu, swoich poetów, powieściopisarzy, malarzy. Prawdę mówiący, pamięć o nich zaginęła. Z tego quasi-legionu polskiego endecja się wycofała, bo zauważyła, że Rosja uczyniła z polskich oddziałów oddziały kondotierów. To nie byli polscy żołnierze.

Legiony u boku armii rosyjskiej w zasadzie już przegrały, kiedy się tworzyły. Ten obraz utrwalił obóz legionowy po roku 1918, a zwłaszcza po 1926, kiedy konkurencji z Narodowej Demokracji zostali wymazani z historii. Z historii, do której dzisiaj wracamy, choć to jest trochę bicie głową w mur, bo młodzież szkolna, nawet nasi kochani studenci, o legionie założonym w Puławach czy Lublinie nie słyszeli i słyszeć nie chcą...

Prof. Mariusz Wołos: Gen. Haller - błękitny symbol

Odnoszę się polemicznie do słów prof. Chwałby. Ja bym jednak lekką ręką nie zestawiał ze sobą tego, co się działo w Polsce w roku 1918, 1919 i liczb dotyczących dezercji, ponieważ startowaliśmy z punktu zero. Nasze państwo nie było zorganizowane jak państwa zaborcze w 1914 r.

Sytuacja z 739 Drużyną Nowoaleksandryjską i 740 Drużyną Lubelską, bo tak nazywano Legiony Puławski i Lubelski, była bardzo smutna. Rosjanie zgodzili się na używanie symbolu Matki Boskiej Częstochowskiej, ale już

nie na to, by używać orla białego. Drażniło ich, że po Warszawie chodzą ludzie w rosyjskich mundurach z jakimiś dziwnymi naszywkami; mówiący po polsku. Stąd też władze bardzo szybko dały do zrozumienia, że utrudnią Polakom pracę. System był bardzo prosty. Jeżeli dany porucznik chciał się zapisać do Legionu Puławskiego i poszedł do dowódcy pułku, to od niego usłyszał: „Dobrze, panie poruczniku, ja dam na to zgodę, ale musi mieć pan świadomość, że w armii rosyjskiej kariery pan nie zrobi”. I to było twardo powiedziane.

W 1914 r. sprawa polska była w sercach tylko i wyłącznie Polaków. Sytuacja w roku 1916 była zupełnie inna, Polacy zgłaszali się dobrowolnie do tych oddziałów, wiele ryzykując. Oni służyli nie tyle nieistniejącej jeszcze sprawie polskiej, ile państwu polskiemu. Z tą myślą szli do tych oddziałów. To był pewien kapitał na przyszłość. O tym absolutnie nie można zapominać.

Trzonem Błękitnej Armii rzeczywiście byli ochotnicy ze Stanów Zjednoczonych. Około 40 tys. żołnierzy stanowiłi jeńcy. Na koniec chciałbym zatrzymać się przy postaci „błękitnego” gen. Józefa Hallera. Żołnierze go kochali. Był symbolem polskiego generała, wysokiego rangą dowódcy, żołnierza walczącego z bronią w rękę przeciwko wszystkim trzem zaborcom. Gen. Haller to wielki symbol, który powinniśmy mieć przed oczyma.

Prof. Krzysztof Kawalec: Twardo postawione warunki

Zacznę od Legionu Puławskiego, który w kategoriach politycznych był porażką, a w kategoriach militarnych nie przybrał dużej skali. Natomiast zostawił po sobie coś, co można traktować jako kapitał żelazny. Początki tej formacji - także z punktu widzenia polityków, którzy orientowali się na Rosję w przededniu wojny i podczas jej pierwszych miesięcy - były ambarasujące. Utożsamianie się z państwem, nawet gdy to państwo nie było własne, miały bowiem taki skutek, że wśród części Polaków w obrębie zaboru rosyjskiego widać było entuzjazm, który przejawiał się w podejmowaniu różnych działań na rzecz rosyjskiej armii, z tworzeniem formacji partyzanckich włącznie. Politycy narodowo-demokratyczni w obrębie utworzonego w Warszawie Komitetu Narodowego Polski w porównaniu ze swoimi konserwatywnymi partnerami byli bardziej sceptyczni, jeśli chodzi o perspektywę tej współpracy. Także z uwagi na to, że entuzjazm, który wokół siebie widzieli, wielu z nich raczej drażnił, aniżeli radował.

Wchodząc w inicjatywę tworzenia polskich sił zbrojnych, starali się stawiać warunki polityczne. Domagali się, by zgodnie z nomenklaturą armii rosyjskiej tworzone oddziały nie były oddziałami partyzanckimi, tylko oddziałami armii stałej. To miało znaczenie, gdyż oddziały partyzanckie są tworzone na czas wojny. Natomiast utworzenie oddziałów polskich jako stałego elementu rosyjskich sił zbrojnych oznaczało, że zostaną one zachowane także po wojnie. Zachowanie własnego wojska stwarzało możliwość stawiania żądań politycznych. Domagano się również, aby oddziały te zostały użyte wyłącznie na froncie niemieckim, a nie południowym - austriackim, co pozwalało uniknąć sytuacji, w której przeciwko sobie stali nie tylko Polacy, ubrani w różne mundury, ale również członkowie formacji podkreślających swój polski charakter, głoszący hasła narodowe.

Rosjanie zgodzili się na to. Relatywnie łatwiej było rozmawiać z reprezentantami wojska, które poddawało się nastrojom solidarności słowiańskiej, niż z politykami czy przedstawicielami administracji.

Rosjanie robili różne wstręty przy organizowaniu koszar. Traktowali polskie oddziały zbrojne, formalnie sojusznice, jako zalegalizowaną formę organizowania się polskich buntowników. Na początku 1915 r. Komitet Narodowy Polski cofnął swoje poparcie dla rekrutacji, uznając tę inicjatywę za inicjatywę rosyjską. Na zasadzie: Nie chcecie wypełniać zobowiązań, to bawcie się sami. Ale tym, co przecięło współpracę, była perspektywa użycia wojska nie na froncie niemieckim, tylko na militarnie łatwiejszym, lecz politycznie kłopotliwym, froncie południowym, gdzie przeciwnikami mogli być Legioniści. Istotne jest, że ze strony polityków polskich współpraca ta nie miała charakteru współpracy w ciemno, gdzie zgadzali się na wszystko. Były twardo postawione warunki brzegowe; w obliczu perspektywy, że zostaną one naruszone, politycy polscy wycofywali się ze współpracy. ©

MAREK KOZUBAL

W polskim wojsku służył nie tylko niedźwiedź Wojtek, który przeszedł szlak bojowy z Armią Andersa. Pierwsza była niedźwiedzica polarna – Baśka Murmańska. Jej losy obrazują trochę zapomniany fragment historii polskich formacji zbrojnych.

FUTRZANA GWIAZDA BŁĘKITNEJ ARMII

Baśka urodziła się na północy Rosji. Została wcielona do polskiego Baonu Murmańskiego. W grudniu 1919 r. defilowała przed naczelnikiem Józefem Piłsudskim. Niestety, życie skończyła tragicznie.

Historia oddziału, w którym służyła futrzana żołnierka, rozpoczyna się po rewolucji bolszewickiej w 1917 r. i wycofaniu się Rosji z Wielkiej Wojny, gdy polscy żołnierze służący w armii carskiej zostali rozproszeni po całym upadającym imperium. Twórca Błękitnej Armii generał Józef Haller postanowił zagospodarować owych wojskowych dla odradzającej się Polski i wciągnąć ich do walk prowadzonych przez armie ententy u boku białych przeciwko czerwonym. W połowie czerwca 1918 r. Hallerowi udało się uzyskać zgodę państw sojusznicych na rozpoczęcie werbunku do polskich oddziałów na terenie Rosji. Komisje wojskowe powstały Murmańsku i Archangielsku. Oddział był formowany w miejscowości Kola. Stworzony został tam batalion strzelców polskich liczący ok. 300 żołnierzy. Ruszył do boju z bolszewikami u boku Brytyjczyków. Nasi żołnierze walczyli m.in. w pobliżu jeziora Onega w Karelii.

Podryw na niedźwiedzicę

Wprzedwiośnie roku 1919-go Archangielsk nad Białym Morzem był okupowany przez Entantę, która pod kunktorskim dowództwem Anglików i na ich wicje zamierzała zdobyć Rosję od północy, powywieścić na latarniach ówczesnych czerwonych władców Kremlu, a przede wszystkim zrobić dobry interes na eksploatacji bogactw naturalnych tego kraju” – opisywał ówczesne realia Eugeniusz Małaczewski, który zbeletryzował w latach 20. losy naszej bohaterki w książce „Dzieje Baśki Murmańskiej. Historia białej niedźwiedzicy”.

W 1919 r. małą niedźwiedzicę kupił na targu w Archangielsku – jak relacjonuje Małaczewski – podchorąży Walenty Karaś. Rywalizował on z kapitanem włoskich bersalierów o względy pięknej damy. Obaj wiedzieli, że ich wybranka ma słabość do zwierząt, więc przed jej domem paradowali z coraz to większymi okazami. Karaś postanowił przebić kupionego przez Włocha białego lisa, ale w trakcie utarczki o kobietę agresywna niedźwiedzica podarła kapitanowi spodnie i mocno go przestraszyła. Co gorsza, zabiła psa, który ją zaatakował, a pech chciał, że właścicielem owego psa był brytyjski generał, który poszedł na skargę do polskiego dowódcy batalionu Murmańczyków majora Juliana Skokowskiego. Ten skazał Karasia na dziesięć dni aresztu, a Baśkę rozkazem przydzielił do jednostki z nominacją na „córzkę regimentu” i wpisał ją do ewidencji kompanii karabinów maszynowych.

Zadanie oswojenia zwierzęcia otrzymał kapral Smorgoński, który miał ciężką rękę, bo musztrował rekrutów. I – jak zapewnia Małaczewski – niedźwiedzica została „oblaskawiona jak domowy pies”. A później towarzyszyła oddziałowi „niby żywy sztandar”.

Jesienią 1919 r. zapadła decyzja o ewakuowaniu Polaków na Zachód. „Biograf” Baśki Eugeniusz Małaczew-



Baśka Murmańska mieszkała w Twierdzy Modlin, gdzie zażywała kąpeli w wodach okolicznych rzek. Dziś przy jednym z pawilonów stoi jej pomnik.

ski twierdził, że statek z żołnierzami i niedźwiedzicą przypłynął do Gdańska. Jednak niedawno brytyjska rozgłośnia BBC podała, że statek „Toloa” 20 września 1919 r. i owszem wypłynął z Rosji, ale... do Edynburga. Wersję tę potwierdza relacja majora Bronisława Ducha, odnaleziona w gazetce wydanej z okazji pierwszego zjazdu Murmańczyków w 1929 r. Duch napisał, że Polacy wysiedli w szkockim porcie 2 października. BBC, cytując ówczesne lokalne gazety, opisywała sensację, jaką na ulicach miasta wzbudziła polska niedźwiedzica w charakterystycznych błękitnych mundurach i oczywiście towarzysząca im niedźwiedzica polarna.

Baśka na defiladzie

1 grudnia Polacy opuścili Szkocję na statku „Helena”, który miał przetransportować ich do Gdańska, lecz na skutek awantury (nie znamy jej szczegółów) dotarli tylko do Szczecina. 4 grudnia, jeszcze tej samej nocy, której dobili do portu, ruszyli pociągiem do Poznania. Granicę polską przekroczyli pod Krzyżem, 6 grudnia trafili do Modlina, nowego miejsca stacjonowania. Inspekcji oddziału na miejscu dokonał sam generał Haller.

W grudniu 1919 r. wraz ze swoim oddziałem Baśka wzięła udział w defiladzie, którą na placu Saskim w Warszawie przyjmował naczelnik państwa Józef Piłsudski. Murmańczycy zostali potraktowani jak prawdziwi

bohaterowie, a niedźwiedzica wzbudzała podziw licznie zgromadzonej gawiedzi.

„Gdy naczelnik, chcąc ją pogłaskać, wyciągnął do niej rękę, bez namysłu podała mu łapę” – zanotował kronikarz. Na zachowanych do dzisiaj zdjęciach wygląda to jednak trochę inaczej – jakby Baśka chciała dosięgnąć przyszłego marszałka łapą z wyciągniętymi ostrymi pazurami.

„Jak na pogrzebie rodzonej siostry”

Do tragedii doszło dwa miesiące później. Niedźwiedzica zerwała się z łańcucha i przepłynęła Wisłę w okolicach Twierdzy Modlin. Ruszyła do pobliskiej wsi, bo miała zaufanie do ludzi. Tam wypatrzył ją miejscowy chłop, niejaki Wawrzon, który akurat z synami rozrzucał gnój w zagrodzie.

Chłop zadźgał ją widłami, bo chciał mieć futro dla żony Maryski. Gdy we wsi zjawili się żołnierze, Wawrzon zdejmował już nożem skórę z niedźwiedzicy.

Małaczewski tak opisał dialog, który potem nastąpił (pisownia oryginalna): „A niedoczekanie wasze! Nie znacie prawa pisanego? Moja jest, bom ją z narażeniem milego żywota na własnym groncie upolowałem. Nie dam!”

– Twardy jest naród tutejszy! – zawołał na taką odpowiedź zdesperowany Smorgoński. – Nie ma co, chłopaki. Do bronii!...

Na to hasło żołnierze rozgrodzili w okamgnieniu pobliski płot, gdyż karabinierze ze sobą nie wzięli, i na łbie ojca Wawrzona i jego synów, i kumów, i sąsiadów, wypisali ze wściekłością, – z furją jakoby całego batalionu, rzucającego się wręcz do magazynu muzealnym bagnetem – swoje murmańskie, niezawodne, idące przed wszelkim innym prawem, wojenne prawo.

Zaczem Baśkę, odbitą z chłopskich rąk, włożyli na te same kije, które pokonali chłopów, i ponieśli ją ku łodzi, zostawionej przy brzegu, struci żalem i smutkiem, jak na pogrzebie rodzonej siostry”.

Niedźwiedzica została wypchana. Podobno przez krótki czas stała w salonie u generała Hallera, gdy pomieszkiwał w toruńskim domu właściciela fabryki pierników. Potem została przekazana do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Przetrwiała Powstanie Warszawskie.

Stella Maria Szacherska w publikacji „Pułkownik Zbigniew Szacherski, dyrektor Muzeum Wojska Polskiego w latach odbudowy” wspomina, że „maskotka oddziału płk. Skokowskiego, która przybyła z nim do Polski, (...) w specjalnej gablocie przetrwała w dobrym stanie okupację”.

Potem jednak pod wpływem politruków z Głównego Zarządu Polityczno-Wojskowego Ludowego Wojska Polskiego niedźwiedzica trafiła do magazynu muzealnego, zresztą razem z resztą pamiątek przypominających chwalebne dni walki z bolszewikami.

Co potem się z nią stało? Nie wiemy. Jedna z wersji mówi, że po wojnie została wyrzucona na śmietnik, gdy komuniści pozbywali się wszystkiego, co było związane z historią II Rzeczypospolitej. Druga, że została przekazana do Warszawskiego Towarzystwa Łowieckiego. Może u kogoś Baśka stoi do dzisiaj? ☹